MATEUSZ Z KRAKOWA,

kartka jubileuszowa,

w pięćsetną rocznicę Uniwersytetu Krakowskiego.

Gdyby nas pytano o dowody i świadectwa przynależności duchowej do cywilizacyi powszechnej, szkoła, której pięćsetną rocznicę w tym miesiącu obchodzimy, najwymowniejszą byłaby odpowiedzią.

Drogą jest dla nas jej pamięć i przez sędziwy wiek, jakim góruje nad innemi szkołami Europy, i przez szerokość jej wpływów: „Komu Akademia Krakowska nie jest matką, temu pewnie jest babką," odparł niegdyś kanonik Dobrocieski na synodzie piotrkowskim jezuicie Arkturowi. Drogą jest dla nas jej pamięć przez ilość uczonych i literatów, jakich wydała lub przysposobiła, począwszy od Kopernika i Kochanowskiego; dalej przez znaczenie, przekraczające granice etniczne i polityczne, a ogarniające Szląsk i Węgry; przez światło, jakie biło niegdyś od niej na całą północ, przez ilość mistrzów i studentów, przez mrówczą pracę i poświęcenie jednych, a krewkość drugich (trzebaby to studentom powiedzieć: grożą jeszcze w XVII-ym wieku, gdy chcą karcić lub usuwać zgorszenia, a o tragedyi z r. 1549 nie zapomniano nigdy). Lecz nie tylko tą wiekową gorliwą i rzetelną służbą w podniesieniu wiedzy, oświa-

ty i moralności drogą nam jest pamięć Akademii Krakowskiej: cenimy ją, chociaż zawsze jeszcze niedostatecznie, i dla własnych, domowych jej dziejów, ciekawszych i ważniejszych, niżby się to napozór wydawało.

Usuńmyż dziś choćby jedno ze złudzeń optycznych, nie dozwalających nam dotąd ogarnąć w całej pełni znaczenia i roli uniwersytetu, odświeżmyż jedną ze zbutwiałych kart jego dziejów, zapomnianych tak doszczętnie, jak niezasłużenie.

Jeśli od dziejów jego nowszych, po-Kołłątajowskich, poreformowych, rzucimy okiem wstecz, to mimowoli przedstawi nam się przeciąg ich niemal czterowiekowy (1400—1780), jakby linia, wygięta z początku ku górze, a zniżająca się rychło i pozostająca przez trzy wieki na równym poziomie. Rozróżniamy więc w dziejach jego tylko dobę rozwojową do 1450 lub 1500 i dobę powolnego, a stałego upadku — aż do zejścia świecznika północnej Europy na zakład, wyłącznie prowincyonalny i mieszczański zarazem. I zdaje się nam mimowoli, że dzieje uniwersytetu wypełnia tylko walka z nędzą materyalną o samo istnienie, z niesfornością studencką o ład, z jezuitami o monopol naukowy, z Rzymem o kanonizacyę św. Jana Kantego, że znamionuje je fanatyczna gorliwość o niepokalaną prawowierność i kompletny zastój naukowy, a gorliwość ową i ten zastój rozszerzamy mimowoli na całą przeszłość uniwersytetu. I wydaje się nam ona jakimś posągiem średniowiecznym, sztywnym, bez wyrazu i ruchu, z rękami, kornie ku modlitwie złożonemi, jakby dla innych gestów i myśli już miejsca nie było.

Dopiero po dokładnem badaniu spostrzegamy zdziwieni, że pod martwą maską kryje się życie, że oblicze posągu nie jest banalne, że bije z niego myśl mądra, energia i hart duszy, poczucie spełnionego obowiązku.

Znał przecież ten uniwersytet czasy, kiedy i zastój umysłowy, i gorliwość fanatyczna były mu obce; w zaraniu jego dziejów zanosiło się przecież na rozwój odmienny. Jeśli np. uniwersytet paryski (Sorbona) pomógł kościołowi gallikańskiemu do wywalczenia przywilejów i swobód, to nie było winą uniwersytetu krakowskiego, nie podtrzymywanego przez królów i duchowieństwo, że kościół polski czegoś podobnego nie uzyskał, że np. kościół i szkoła zasklepiły się niebawem w ultramontanizmie najszczerszym. W zaraniu uniwersytetu krakowskiego widzimy coś innego: widzimy ducha opozycyi przeciw ultramontanizmowi wygórowanemu, widzimy jednostki, skrojone na miarę Piotra z Alliaku i Gersona albo Kuzana i Eneasza Sylwiusza (przed ich apostazyą); i tylko powoli ulatnia się płodny

pierwiastek, usychają te obiecujące latorośle i zatraca się nawet lub fałszuje wszelka o nich tradycya.

Z zaraniem tem związana jest nierozerwalnie osobistość, której imię położyliśmy u góry: nie dlatego, że się walnie przyczyniła do ponownego wzniesienia szkoły, teraz jagiellońskiej, niegdyś piastowskiej, na nowych podwalinach, — lecz dlatego, że pierwsze dwie generacye mistrzów krakowskich, owiane tym samym duchem, prowadzą dalej dzieło, rozpoczęte przez Mateusza z Krakowa, a słynne na całą Europę; że na najświetniejszych kartach uniwersytetu krakowskiego wycisnęła się pieczęć tego reformatora przed reformacyą; że wygładzono później pamięć i tego człowieka, i tego ducha zarazem.

„Albowiem, ktokolwiek ma, będzie mu dano i obfitować będzie, a kto nie ma, i co ma, wzięte będzie od niego".

Mimowoli nasuwają się nam te słowa ewangelisty, gdy o Mateuszu Krakowczyku wspominamy. Niewielkim musi pozostać wkład nasz w życie umysłowe średniowiecznego zachodu, i nic w tem dziwnego, skoro o tyle później od innych, choćby od Czechów, i wśród bardzo niesprzyjających warunków staliśmy się jego spółuczestnikami; lecz nawet i tego, co nam się słusznie przynależy, chcą nas bogatsi pozbawić, sobie przywłaszczając, co naszem było bezsprzecznie.

Nie mogło się bowiem Niemcom w głowie pomieścić, aby spowiednik ich króla Ruprechta, ich biskup wormacki, światło uniwersytetu heidelberskiego, aby autor łaciński nadzwyczaj ceniony, jednem słowem, aby najszlachetniejsza postać dogasającego średniowiecza — wywodziła się z barbarzyńskiej, w ich oczach, Polski. Więc mimo najwyraźniejszych świadectw rękopisów albo uczonego opata niemieckiego z końca XV wieku, traktującego o pisarzach teologicznych i poświadczającego polskie pochodzenia mistrza Mateusza, wymyślano dla niego rodowód niemiecki, przypisano go jakiejś frankońskiej rodzinie Vickerodów, wyszukano jakąś jej pomorską odnogę, nazywającą się od swego Krochowa, i wmówiono w świat zbyt łatwowierny, że ów mieszczanin krakowski to Pomorczyk von Krochow. I jeszcze najznakomitsi znawcy średniowieczyzny, taki np. profesor Lorenz w dziele o źródłach dziejowych niemieckich, a za nim ks. Hübl w pysznym katalogu rękopisów Szotów wiedeńskich z r. 1899 nie wahają się powtarzać, że nazwa „Mathaeus de Cra-

covia", tak sławna w XV wieku i jasna, niczego nie dowodzi, na Kraków bynajmniej nie wskazuje; więc słońca ze świeczką szukają, aby nas pokrzywdzić.

Ale cóż się Niemcom dziwić! I nasza wina niemała. Hozyuszem i Kromerem szczycimy się zawsze i wszędzie, a o Mateuszu z Krakowa i Jakóbie Paradyżaninie, którzy im co najmniej dorównali, jakoś głucho u nas. W encyklopedyi naszej Jakóba, ani Mateusza nie wymieniono osobno, chociaż się tam i dla najpodlejszych gryzipiórków miejsce znalazło; a Wiszniewski, rozpychający byle czem swą historyę literatury, Mateusza, jako Niemca—na wiarę Bandtkiego—pominął. Główną jednak winę ponosi Długosz; ile wiem, nie wspomniał on nigdzie o Mateuszu z Krakowa, choć musiał go znać niechybnie; a uczynił to dla tych samych przyczyn, dla których np. o husytyzmie w Polsce i o innych ortodoksyi urzędowej niemiłych zjawiskach przemilczał. Paradyżanina przynajmniej na jednem miejscu wymienił!

A mogliby nam Niemcy rzucić jeszcze i tem w oczy: „Nie wasz ten Mateusz; jeśli co o nim wiedzieć chcecie, musicie do naszych źródeł i dzieł się udawać, począwszy od Trithemiusa i Walcha, aż do Ullmanna, Eichhorna, Losertha i Sommerlada; wyście się do niego nie przyznawali, prócz jednego Starowolskiego, nie godniście więc jego.

Lecz, prędzej czy później, słoneczko prawdy i przed naszemi wrotami zaświecić musi. Pora nam się ująć za mężem, sławnym mistrzem praskim, rektorem heidelberskim, biskupem wormackim, kardynałem rzymskim (pierwszym z Polaków), autorem dzieł, przepisywanych niezliczone razy, tłómaczonych na obce języki i rozpowszechnionych jeszcze przed wynalezieniem druku; za mężem, który o ojczyźnie swej i na dalekiej obczyźnie wierną pamięć zachował, który jej walną usługę oddał, którego duch i praca w uniwersytecie krakowskim, w Maurycym z Pragi, Jakóbie z Interboku i Janie z Kęt (Kantym) świetnie owocowały; którym, jednem słowem, Kraków szczycić się winien, jako pierwszą ozdobą swego mieszczaństwa; o którym w Europie zawsze rozprawiano, u nas zawsze milczano.

Nigdyby bajeczka o pomorskim Krochowie nie powstała, gdyby nie zwyczaj średniowieczny starannego zatajania przezwisk i zacierania wszelkich śladów indywidualności.

Nasz wiek reklamy osobistej i wszelakich Barnumów—dewizy Tomasza Kempijskiego „ama nesciri" (pragnij pozostać niezna-

nym) nigdy nie zrozumie; on nie pojmie, że osobistość, wysuwana od czasów renesansu zawsze na pierwszy plan, nie istniała wcale dla średniowiecznej pracy duchowej; dla niej istniały tylko płody, dzieło czy traktat, lecz nawet i one obywały się np. bez tytułu osobnego; cytowano je, jak my dziś jeszcze bulle papieskie cytujemy, tylko od pierwszych słów; o autorze nie wspominano nigdy, a jeśli go nawet wymieniano, to jak najkrócej: „Mateusz z Krakowa", albo, jeśli miejscowość wielką nie była, nazywano go poprostu samą miejscowością, np.: „Gerson" zamiast Jan z Gersonu, „Wesalia" zamiast Jan z Wesel i t. p.; wyjątkowo godność jakąś wymieniano, np. „kanclerz paryski" (ten sam „Gerson"). Nazwisk familijnych nie cytowano prawie nigdy, i trzeba dopiero szukać, nieraz całkiem bezskutecznie, kto to się ukrywa pod owymi Mateuszami z Krakowa, Henrykami z Frimaru, Ojty lub Hassyi, Janami z Gersonu, Jakóbami z Interboku i t. d. Stokroć gorzej jednak było, że zadawalają się samemi dziełami, autorów ich nie wymieniając wcale, z czego później najrozmaitsze nieporozumienia wynikały; tradycya myliła się nieraz grubo; tak np. dzieło, z tysięcy wydań całemu światu znane „O Naśladowaniu Chrystusa" zamiast Tomasza Kempijskiego jakiegoś Gersena nosiło imię czy Gersona.

Dla wieków średnich autor więc nie istniał; gdy np. Jagiełło i Jadwiga ofiarowali katedrze wileńskiej św. Stanisława i Władysława r. 1398 dla zbawienia dusznego „legendę złotą" czyli „historyę lombardzką" (Jakóba de Voragine), oznaczyli rękopis wedle słów wstępu, pierwszego i ostatniego rozdziału — o wymienieniu tytułu i autora mowy nie było. Czem poczytniejszem było dzieło, tem pewniej ginęła wszelka pamięć o jego autorze!! Któż był np. kompilatorem „Historyi rzymskich" (Gesta Romanorum), przepisywanych setki i tysiące razy? nigdy tego wiedzieć nie będziemy. I takich przykładów mamy wiele. W piętnastym wieku lubiono bardzo zbiór bajek t. zw. Gwidryna — w autorze jego odgadywano później to Polaka, to Neapolitańczyka jakiegoś, to apostoła Słowian Cyryla!

Skoro więc zatajanie, zagładzanie wszelkiej osobistości i jej śladów należy do cech średniowiecznej pracy umysłowej, więc nie dziw, że można było i mieszczanina krakowskiego przerobić z czasem na szlachcica pomorskiego. W dokumentach, gdzie osoba dokładniej oznaczoną być musiała, występuje zato nasz Mateusz z przydomkiem „dictus Notarii" — zwany (synem) Stadtschreibera. Należał więc Mateusz do rodziny Stadtschreiberów, odznaczającej się,

jak i inne rodziny pochodzenia niemieckiego, Wigandowie, Hessowie lub Iznerowie, zdolnościami i pracami umysłowemi. Samo imię Mateusza dało jednak powód do innych jeszcze bałamuctw: mieszano je z Matyaszem (i polskie Maciej przecież jedno i drugie oznacza) i przypisywano np. dzieła szwedzkiego Matyasza naszemu Mateuszowi, albo odwrotnie.

Pomieszano nareszcie naszego Mateusza (Stadtschreibera) z Krakowa z innym Mateuszem (Najman) z Krakowa, teologiem XV wieku. Rodzina Najmanowiców, kwitnąca w Krakowie jeszcze w XVII wieku, między antenatami swymi wymieniała stale biskupa wormackiego — mistrz krakowski Cynerski-Rachtamowic np. w *Atlas academicus in funere doctoris Jacobi Najmanovicii* (zmarłego r. 1641) nazywa kilka razy *Matthaeum Nevmannium de Cracovia, celeberrinum Vormaciensem praesulem*, przodkiem Najmanowiców krakowskich [1]).

Lecz dosyć tych bałamuctw. Urodził się *Mateusz Stadtschreiber* w Krakowie jakoś niebawem po 1330 r.; nauki początkowe pobierał chyba w szkole maryackiej, ale żądza wiedzy pchała go dalej — jednak nie na zwykłą drogę scholarów polskich, zdążających do Włoch dla studyum kanonów, niezbędnego dla szybszego posuwania się w karyerze duchownej, lecz dla studyum teologii, jednak nie do Paryża, niedawno jedynej europejskiej szkoły teologicznej, tylko do Pragi poblizkiej, gdzie po odbyciu kursów filozoficznych można było teologię studyować, głód duchowy zaspakajać, na co w domu środków jeszcze nie było.

Musimy się oprzeć pokusie kreślenia wizerunku tej szkoły w czasach, gdy do niej należał Mateusz, jeden z pierwszych jej członków, skoro już r. 1355 cesarz Karol tego bakałarza sztuk wyzwolonych uwzględnieniu papieskiemu (przy rozdawnictwie beneficyów) polecał. A szkoła to była nielada: wyłonięta z paryskiej, jak się z niej samej heidelberska i krakowska później wyłoniły, pielęgnowana i wspierana przez cesarza i arcybiskupa, jak żadna inna, a już najmniej, niestety, krakowska, położona znakomicie, bez rywalów w środkowej i wschodniej Europie — podniosła się ona odrazu i dosięgła wnet niesłychanej wysokości. Kilkuset mistrzów na samym fakultecie *artium* (filozofii), kilka tysięcy studentów i dro-

---

[1]) Wiadomość tę zawdzięczamy uprzejmości Dr. Władysława Wisłockiego.

żyzna czasowa w mieście z powodu takiego napływu — oto liczby i fakta wymowne; kwiat uczoności niemieckiej skupiał się tutaj; mistrzami i kolegami niebawem Mateusza byli taki Henryk Oyta, Konrad Soltau, Jan z Kwidzynia (Marienwerder), a każde z tych nazwisk w dziejach kanonistów i teologów złotemi świeci głoskami. Lecz w bujnym tym kwiecie zalągł się wcześnie robak: rodowici Czesi mniej chętnie na tych obcych spoglądali, i gorliwy Czech, a niegdyś rektor paryski, Wojciech z Ericinia, wystąpił ze sławnem oskarżeniem przeciw Henrykowi z Oyty o artykuły kacerskie, może nie z samych pobudek rzeczowych[1]; dwuletni proces, toczony przed papieżem w Awinionie, na który uniwersytet olbrzymią sumę dla swego luminarza poświęcił, głęboko i naszego Mateusza wzruszał, który ukochanego mistrza i kolegę najpierw zaczepionym i zbeszczeszczonym, a później świetnie rehabilitowanym mógł oglądać. Nie przypuszczał on wtedy, że proces ten to niby pierwszy ptak, zrywający się przed burzą, która i jego, Mateusza, z Pragi wymieść miała.

Tymczasem w Pradze tej uczył się Mateusz, a uzyskawszy stopień pierwszy, bakałarski, uczył i drugich; nie wiemy, dlaczego następny stopień, magistrowski, uzyskał po nadzwyczajnej przerwie, bo aż po latach dwunastu dopiero (r. 1367); potem udał się, jak norma wymagała, do studyum teologii i przechodził zwykłą kolej, bakałarza „kursora" i „formowanego", licencyata, a wreszcie mistrza *„sacre pagine"*. Tak więc w lektoryach spędził Krakowianin najliczniejsze i najlepsze lata, i zdawałoby się, że zrósł się już z Pragą na zawsze; tymczasem porzucił ją w końcu, zmuszony okolicznościami, już jako sześćdziesięcioletni starzec.

W uniwersytecie należał on do nacyi „polskiej", ale nazwa słowiańska kryła grupę niemiecką, bo do nacyi „polskiej" zaliczano i Inflantczyków, Prusaków, Pomorzan, Szlązaków, przybyszów z Myszni, Turyngii i Marchii; jako „Polak", stał on, naturalnie, wraz z „Bawarami" i „Sasami" przeciw „Czechom"; gdy więc rozpoczęły się frykcye i walki między nacyami w uniwersytecie — a zaszło to wnet po śmierci założyciela i ojca narodu — musiał się Ma-

---

[1]) Przysłowie znane, np. u Rysińskiego: „poszleszli do Paryża osiełka głupiego, jeśli tu był osłem, tam nie będzie koń z niego" (później dla rymu zmieniane na „owies i ryż" lub „głupi i rozumu nie kupi"), przetłómaczono z łacińskiego, którego już arcybiskup praski, Jenzenstein (Czech) przeciwko Wojciechowi w polemice zażył: *Parisius isti pecus hinc, pecus inde redisti.* (Do Paryża stąd bydlęciem poszedłeś, bydlęciem stamtąd wróciłeś).

teusz znaleźć w obozie antyczeskim, antynarodowym, stanął w szeregu obcych, broniących cech kosmopolitycznych szkoły praskiej. Wybuchła walka najpierw (r. 1384) o kolegia, o prezenty na opróżnione miejsca i beneficya. Czesi żądali od króla Wacława i od arcybiskupa, aby wyłącznie Czechów rodowitych niemi obdzielano; uniwersytet oponował, chcąc, by nie urodzenie, lecz zacność i zdolności tu rozstrzygały. Zamknął nawet rektor, Konrad Soltau, uniwersytet, lecz przed groźbą klątwy arcybiskupiej ustąpił; trzy nacye apelowały wprawdzie od wyroku arcybiskupiego do papieża, lecz musiały niebawem apelacyę cofnąć (r. 1385) i przyjąć niekorzystny wyrok rzymski, zastrzegający Czechom po pięć z każdych sześciu kolegiatur. I zaczynają powoli Niemcy, właśnie najzaufańsi przyjaciele Mateusza, opuszczać Pragę; Jan z Kwidzynia rezygnuje r. 1387 z kanonikatu praskiego i przenosi się do Prus, gdzie mistrz wielki myślał o założeniu w Chełmnie szkoły na wzór paryskiej i praskiej, a Mateusz towarzyszył Janowi w tej podróży, chociaż tym razem jeszcze do Pragi powrócił; Konrad Soltau i jurysta Noet przenoszą się do najświeższej wszechnicy, do Heidelberga, dokąd niebawem i Mateusza przeciągną. Henryk Oyta już dawno był Pragę opuścił. Pierwsza to, a dotkliwa klęska obcych nacyi; zachwiał się widocznie grunt pod ich nogami; niebawem przeciwieństwa zaostrzały się coraz bardziej, a porywczy i gwałtowny temperament królewski łagodząco nie wpływał; widziano przecież, jak daleko on się unosił w konflikcie z samym arcybiskupem i jego wikaryuszami generalnymi; wolał więc Mateusz uchodzić zawczasu. W r. 1391 widzimy go w Krakowie; nie wiemy, czy jeszcze do Pragi powrócił, ale o dawnym kilkakrotnym dziekanie filozofów odtąd w Pradze głucho zupełnie; 1394 r. wypływa on już w Heidelbergu, zaszczytnie przez uniwersytet przyjęty, obierają go profesorem św. teologii, i palatyn zobowiązał go sobie na całe życie, wyznaczając mu wysoki jurgielt 150 złotych (r. 1395).

Z Pragą rzucał Mateusz nie tylko profesurę, lecz i beneficya duchowne — krakowskie i wrocławskie (kanonikat św. Idziego) — i urząd kaznodziei praskiego w kościele parafialnym i przed zebranym na synodzie duchowieństwem; kazania jego synodalne z lat osiemdziesiątych o poprawie obyczajów kleru i ludu dotąd się przechowały; uchodził on za świetnego kaznodzieję. Jako taki, byłby się konfliktu z królem tem łatwiej i pewniej dopytał. W każdym razie, rozbrat jego z Pragą był stanowczy i zupełny; niema o niej później żadnej wzmianki u niego.

Cóż wyniósł Mateusz z tej zawołanej Pragi, o której przypuszczano, że się całe „studyum" Paryskie do niej przeniesie?

Pobyt w Pradze wyrył niestarte ślady na jego fizyognomii duchowej; czem był, zawdzięczał szkole Karolowej i duchowemu życiu, bijącemu w Pradze nierównie żywiej, niż gdziekolwiek indziej.

Nie myślimy rozprawiać o Mateuszu-filozofie, skoro cały kierunek praski w dziejach filozofii scholastycznej zbyt nie zaważył; wspomnimy tylko o teologu-reformatorze.

Były to straszne dla katolicyzmu czasy, najcięższe, jakie kiedykolwiek przechodził. Zeświecczenie i zmateryalizowanie duchowieństwa dosięgały szczytu; gonienie za groszem i używaniem, brak moralności i nauki, zewnętrzne praktyki, zaciekania scholastyczne, obce religii, symonia, praktykowana najbezczelniej, wdzieranie się w sprawy świeckie, rozprzężenie karności zakonnej wobec coraz mnożącej się liczby zakonów i klasztorów — przygniatały albo raczej zaduszały wszelkie życie duchowne, religijne, moralne. Zachwiał się sam autorytet kościelny; papiestwo, nie zwyciężone przez cesarzy, a nadwerężone przez króla francuskiego, wymierzało w długoletniej schizmie samo przeciw sobie najsroższe ciosy. Głuchy niegdyś szmer niezadowolenia wzbierał potężnie; odzywały się sarkania coraz groźniejsze, choćby owe dotkliwe wyrzuty Dantego; podrażnione tłumy wybuchały nieraz srogą nienawiścią i *„schlagt die Pfaffen todt"* rozlegało się po miastach niemieckich w wieku czternastym.

Na straży zagrożonej wiary i moralności stawały jednostki, grupujące się szczególniej po uniwersytetach — w Paryżu, Oksfordzie i Pradze; wymowa ich, wiedza, świątobliwość żywota wywierały głębokie wrażenie w prostym gminie, u kleru niższego, w urzędzie świeckim; nawoływania ich do poprawy obyczajów i reformy Kościoła odzywały się coraz donośniej. Pomijamy żywioły inne, idące od dołu, demokratyczne i narodowościowe, albo prądy serdecznej, głębokiej, skruszonej wiary, przez mistyków szerzone.

Wyłaniały się najpierw poszczególne kwestye, w których już nie sami „sentencyaryusze" i „summiści" — teologowie z fachu, od przedmiotów swych tak nazywani — głos zabierali, które budziły interes szerokich tłumów, aż do ich roznamiętnienia. I tak rozstrząsała Praga z gorączkowem zajęciem pytanie, czy i laikom nie należy jak najczęściej, choćby tygodniowo albo i codziennie, przyj-

mować sakrament ołtarza? Zabierał w tej kwestyi i Mateusz głos, i znajdujemy go — nie jedyny raz — w obozie, głównie z Czechów złożonym. Rozstrząsał on to pytanie pod postacią rozmowy między rozumem, zalecającym najgoręcej jak najczęstsze posilanie się zbawienną świętością, a sumieniem, wzdrygającem się przed nią w poczuciu własnej niedoskonałości i niegodności; wola, powołana na rozjemcę walki, głosu wcale nie zabiera. Rozszedł się ten traktat Mateusza niebawem po całej Europie w niezliczonych odpisach; posiadamy wczesne jego tłómaczenia na czeskie, na niemieckie (np. już w r. 1389 przez Wrocławianina Morungera, przepisane pod tytułem: „*Buch von der Vernunft und dem Gewissen, das gemacht hat Meister Mathacus von Krakau, wie der Mensch soll geschickt sein zu die Empfahunge göttlichen Leichnams*"; rękopis we Wrocławiu); sam Gutenberg (r. 1459?) traktat ten wydrukował, a za nim wytłaczali go Zell r. 1466 i inni.

I w innej kwestyi stanął mistrz Mateusz po stronie czeskiej, dzieląc zapatrywania Macieja z Janowa, do których później pod wpływem Doroty z Montowy („Aldony" Mickiewiczowskiego, nie pruskiego, Wallenroda, zmarłej r. 1394) i przyjaciel jego, Jan Kwidzyński, się skłonił. Płeć męska wyrodziła się zupełnie; oślepła ona w ubóstwianiu samej siebie, w górnej o sobie myśli, że odwróciła się od niej łaska Boża widocznie; dziś nawiedza ta łaska maluczkich, pokornych, głównie niewiasty. Niewiasta, jako wybrane naczynie łaski Bożej, zaczyna w XIV wieku odgrywać rolę ważną; święte objawienia stają się jej udziałem, Hildegard, a przedewszystkiem szwedzka Brygita, natchnione prorokinie, znajdują gorących, przekonanych wielbicieli; jednym z najgorętszych był właśnie nasz Mateusz, i do dziś przechowały się mowy jego, przed papieżem miane, sławiące świętą, dopominające się jej kanonizacyi. Chłodniejsi, Niemcy, jak Oyta i inni, przestrzegali, nie kazali wierzyć wszystkiemu, powątpiewali; Mateusz jednak wytrwał do końca życia w kulcie świętej i dowody tego złożył jeszcze i w fundacyi testamentowej.

A mieściły się w wizyach Brygity nieraz piorunujące wycieczki przeciw duchowieństwu i papieżowi. Ale do tych nawykał kaznodzieja praski, i poza lekturą tych wizyi i objawień obijały się one zewsząd o jego uszy od namiętnych kaznodziei, Waldhausena Niemca i Milicza Czecha; i sam on im nieraz folgował, np. w kazaniach synodalnych, miewanych (po łacinie) przed duchowieństwem, gdzie już wybór tematu, t. j. motto, charakteryzuje całość, ale niewinnym się wydaje wobec tekstu samego i jego strasznych inwek-

tyw na duchowieństwo, na tchórzliwość tegoż wobec tyrana i rozwiązłość życia jego, na łatwość absolucyi i t. d.; kler i lud psują się nawzajem; i przed papieżem w Rzymie, dokąd go uniwersytet, jako zastępcę wysyłał, poruszał Mateusz tęż sprawę drażliwą. Niepokoiły go bogactwa, w których kler tonął, straszyła go pamięć ubogich i maluczkich, których Pan do apostolstwa powołał; przerażały go drogi, po których chciwi zysku duchowni z kuryą na czele kroczyli; wzdrygał się na praktyki zewnętrzne, którym życie nie odpowiadało bynajmniej, obawiał się herezyi, wszczynających się między wiernymi; podejrzywał niepowołanych, narzucających się tłumowi za wodzów sumienia; nie godził się na scholastykę, której przędza cieniuchna wszelkie artykuły wiary umotała. W takich to przekonaniach opuszczał on Pragę.

Podczas długoletniego pobytu w Pradze nie zrywał mistrz Mateusz stosunków z krajem rodzinnym; nawiązywał je już ciągły przypływ Polaków do kolegiów praskich, związki rodzinne i przyjacielskie podtrzymywały je stale, i wracał nieraz doktór św. teologii, którego imię i znaczenie coraz rosło, na czas krótki do kraju. Teraz, gdy się z Pragą na zawsze rozstawał, pomyślał jednak nie o Krakowie, lecz o nowej katedrze uniwersyteckiej i znalazł ją w Heidelbergu u palatyna Ruprechta, dokąd go koledzy prascy wyprzedzili.

Pod koniec XIV wieku wyrastały uniwersytety, jak grzyby po deszczu. Składały się na to rozmaite okoliczności. Przywileju na na fundacyę udzielał tylko papież; tylko za jego przywilejem nabierały patenty nowej szkoły uznania w całej Europie, ale teraz, wobec schizmy papieskiej, nic łatwiejszego, jak uzyskanie przywileju takiego, niegdyś niedostępnego: należało się tylko wyrzec raz na zawsze strony Bartłomieja z Perignano, dawniejszego arcybiskupa barskiego (t. j. Urbana VI), aby natychmiast otrzymać przywilej od antipapy, Klemensa VII; tak np. zrobił Erfurt, zwykła, acz bogatsza mieścina. Z drugiej strony opuszczało coraz więcej mistrzów, szczególniej Niemców, Paryż, wobec niesłychanego nacisku, jaki rząd na wszechnicę w sprawie uznania Klemensa VII ze skutkiem wywierał; uniwersytet rzucił w końcu Urbana VI, lecz wzamian za to tracił znakomite siły, z których się rekrutowały nowe kolegia niemieckie. Tak powstał i świeży uniwersytet heidelberski z inicyatywy sędziwego palatyna, ze współudziałem eksmistrzów paryskich. Dobrze położone, bogato wyposażone w ludzi i środki

zwabiło nowe „studium" właśnie w pierwszych latach istnienia liczne szeregi młodzi i ludzi dojrzałych; zwabiło ono i Mateusza, przyjętego, jako luminarza, a niebawem, w grudniu 1396 r., rektorem obranego. Ale Heidelberg gotował Mateuszowi jeszcze inne niespodzianki. Uzyskał tu Mateusz pełne zaufanie młodego palatyna, został jego spowiednikiem, a gdy wystawiono palatyna przeciw Wacławowi czeskiemu królem niemieckim, znalazł się i Mateusz niebawem wysuniętym na czoło spółczesnych walk i zabiegów, kościelnych i politycznych.

Nim to jednak nastąpiło, zadokumentował Mateusz niedwuznacznie pamięć i przywiązanie do ojczyzny. Rektor heidelberski opuszcza r. 1397 szkołę, miasto i Niemcy i zjawia się w Krakowie; bawi tu czas dłuższy, przyjmowany z największymi zaszczytami przez mieszczaństwo, obcujący i z królem, pracujący nad wprowadzeniem w życie fundacyi i zamiarów zmarłej królowej. W rachunkach miejskich posiadamy dotąd świadectwa pobytów Mateusza w Krakowie; znajdujemy pozycye na ugoszczenie mistrza, na wynagrodzenie jego towarzysza drogi, wszelkie dowody starania aby Mateusza na zawsze do miasta przywiązać: rajcy obowiązują się w takim razie wypłacać mu rocznie sumę czterdziestu grzywien dożywotnio. U obcych dobrze poinformowanych kronikarzy znajdujemy znowu wyraźne świadectwo, jak to się król Władysław w celach fundacyi nowego studyum krakowskiego posługiwał mistrzem Mateuszem, który, jako rodowity krakowianin, chętnie pośrednictwo swe (u kuryi rzymskiej, w wyborze sił naukowych, w układaniu i zabezpieczaniu statutu i funduszów) ofiarowywał. Sam jednak mistrz Mateusz ani do uniwersytetu nie wstąpił, ani w Krakowie pozostał; widocznie związały go już nadto liczne i ściśłe stosunki z Heidelbergiem, do którego po dłuższej nieobecności powrócił. Tu czekała go jeszcze nadzwyczajna promocya; profesora św. teologii wyniesiono jednogłośnie r. 1405 na opróżnione właśnie biskupstwo wormackie, jedno z najświetniejszych w całych Niemczech.

Rozpoczyna się ostatni, najznamienitszy okres w życiu sławnego krakowianina, chociaż ani do Tamerlana poselstw nie odbywał, ani w Paryżu rektorował, jak później bajano.

Jako biskup wormacki, mógł Mateusz z Krakowa tem energiczniej zaznaczyć stanowisko, do którego już w Pradze i Heidelbergu się zbliżył.

Rozdwojenie i znieprawienie życia kościelnego wymagało na gwałt reformy; podjąć jej nie mógł jednak ten, który, jako głowa kościoła, był do niej powołany; wzajemne wyklinanie się i zwalczanie dwu papieży wykluczało wszelką jej możliwość. Ratować mogła tylko jedna jeszcze instancya, zaniedbana od wieku, — sobór powszechny, i rozpoczyna się niebawem coraz natarczywsze żądanie jego zwołania. Na zwołanie takie nie trzeba czekać, jak musiano wobec schizmy twierdzić, inicyatywy papieskiej; kościół, kardynałowie i biskupi, a przedewszystkiem władza świecka, cesarz, jako obrońca i opiekun kościoła, mają prawo zwołania soboru i winni je wykonać, choćby przeciw papieżowi. Sam fakt schizmy pobudzał teraz do rozstrząsania tytułów prawnych papieskich; jeźli w XIV w. z powodu walki między papieżami a Ludwikiem Bawarskim rozstrząsano kwestyę odgraniczenia obu władz, pytano teraz o podstawę stosunku papiestwa do kościoła. I obudziły się w kołach wielkiej hierarchii i w kołach uniwersyteckich wątpliwości co do uprawnienia wszelkich uroszczeń władzy papieskiej. Odebrała np. kurya rzymska biskupom i kapitułom prawo wyboru i rozdawnictwa niższych beneficyów, obsadzała sama wszystkie posady, nadając ekspektatywy na nie jeszcze za życia beneficyaryuszów — i cóż był za skutek? Najstraszniejsza symonia, wymagająca stałej opłaty od każdej posady, od najmniejszej do największej, od dukata za jakąś wikaryjkę aż do trzydziestu tysięcy złotych za biskupstwo, np. niemieckie. Obywała się kurya bez soborów — a skutek? Rozdwojenie w kościele, niemożliwe, gdyby instytucya soborowa funkcyonowała prawidłowo. Papież przecież — nie kościół, ani nawet głowa jego; głową tylko Chrystus; nazywanie papieża głową to tylko sposób mówienia; on jest tylko organem i sługą kościoła, i kościół stoi nad nim; nie byłoby przecież bez kościoła papieża; kościół go obiera, kościół go sądzi i zsadza. Na ten temat pojawiają się coraz liczniejsze głosy; w przeciwstawieniu do tych, którzy, jak Wiklef, zwątpiwszy o hierarchii, zakładaliby nowe podwaliny pod kościół przyszłości, zbudowany wyłącznie wedle normy ewangelicznej, bez przymieszki świeckiej, — wysuwają hierarchia i uniwersytety, paryski, a później i krakowski, zasadę soborową, wyższości soboru nad papieżem, urządzenie kościoła nie monarchiczne, jak dotychczas, lecz reprezentacyjne, jako jedyny środek reformy skutecznej; episkopaliści i koncyliaryusze stają do walki z kuryalistami.

W liczbie mnożących się coraz pism i traktatów, Piotra z Alliaku, Gersona i innych, zjawia się i nadzwyczaj energiczne, niemal rewolucyjne pismo najmłodszego z biskupów niemieckich.

Nie wspominaliśmy obszerniej o pismach Mateusza z Krakowa prócz kilku uwag przygodnych i nie zamierzamy wcale ich na tem miejscu wymieniać. Jest ich wiele i w nadzwyczaj licznych odpisach; najwięcej — po kilkadziesiąt — posiadają ich biblioteka krakowska (co bardzo znamienne) i wrocławska — niemal komplet tych pism różnorakich. Są między niemi wykłady na części pisma św.; kazania na rok kościelny i kazania okolicznościowe; traktaty teologiczne o łasce i przeznaczeniu w formie rozmowy między ojcem a synem, poświęcone biskupowi warmijskiemu, o spowiedzi i o umowach; rozmaite pouczania, np. o pocieszeniu teologii (*de consolatione*), temat, który i Gerson opracował, jakby w kontr pocieszenia filozofii, niegdyś przez Boecyusza napisanego; nie wszystko jednak, co po rękopisach imieniem Mateusza z Krakowa oznaczano, z pod jego pióra wyszło; średnie wieki brzydkim zwyczajem nazywania byle jakiego autora wprowadzają w błąd nowszych badaczów; nawet dzieło Mikołaja Błońskiego „*Medice cura te ipsum*" można w rękopisach z autorstwem Mateusza napotykać, albo „Złote zwierciadło" (*Speculum aureum*), dyalog między Piotrem a Pawłem o wadach kuryi rzymskiej. Podobnież i dzieło *De consolatione theologiae* mylnie zostało przypisane Mateuszowi: napisał je Jan z Dambachu (Tambaku), Alzatczyk, dominikanin, profesor teologii w Pradze.

Brak jednak w bibliotece krakowskiej i wrocławskiej najsłynniejszego traktatu Mateusza, częstego po innych bibliotekach — berlińska np. posiada dwa odpisy; inne są w Getyndze, Wolfenbüttel, Erfurcie, u Szotów wiedeńskich, w Wiedniu, Francyi i t. d. — a brak ten bynajmniej nie jest przypadkowym.

Już sam tytuł, jaki traktatowi ktoś nadał, brzmi wojowniczo i wyzywająco: *de squaloribus curiae Romanae*, t. j. o b r u d a c h kuryi rzymskiej; i najnowszy autor katolicki, wspominający o tym traktacie, zowie go „*häszlich*" i wyraża nadzieję, że lepsze zbadanie tradycyi rękopiśmiennej okaże bezpodstawność przypisywania traktatu tego świątobliwemu biskupowi wormackiemu — nadzieja najmylniejsza, skoro z ust własnych Mateusza przyznanie się do traktatu we wszelkiej formie posiadamy.

Pełny tytuł — późniejszy zresztą — traktatu brzmi: „*Portugal antiquus* (nie wytłómaczono tego; czy nie oznacza to „starego portugała", t. j. monety złotej — albo raczej medalu — ważnej i prawdziwej?) o brudach kuryi rzymskiej, która, jeśli się nie poprawi, znajduje się w n i e b e z p i e c z e ń s t w i e potępienia wiecznego" (w nieco późniejszych rękopisach: „znajduje się w s t a n i e potępienia wiecznego"). Sam tytuł wystarczał, aby, gdy kurya wreszcie

zwyciężyła, w Krakowie, Pradze lub Wrocławiu kodeks z podobnym traktatem ulegał częściowemu lub całkowitemu zniszczeniu; w jednym kodeksie niemieckim jeszcze ręka XV wieku wycięła największą część traktatu. Niegdyś bowiem znajdował się z wszelką pewnością traktat ten w Krakowie; zanadto ściśle podtrzymywał biskup wormacki stosunki z miastem rodzinnem, aby mógł nie przesłać tam odpisu najnowszego dzieła, okrzyku zgrozy i przestrachu, budzącego sumienia, śpiące w najlepsze. Lecz w Krakowie właśnie dopytał biskup biedy, największej, jaka tylko świątobliwego, nadewszystko prawowiernego i kornie wyrokowi kościelnemu się poddającego autora spotkać mogła.

Jan z Falkenbergu bowiem, lektor teologii u Dominikanów krakowskich, zaczepił ten traktat, jako heretycki. Ujął się biskup wormacki za swem dziełem i przesłał z Wormacyi list do Krakowa (dwa jego odpisy posiada dotąd biblioteka krakowska) z dnia 5 grudnia 1405 r., w którym surowo karci swego przeciwnika; początek tego listu wydrukował (haniebnie) Wiszniewski w historyi literatury t. III, str. 134; listu tego dotąd nie wyzyskano należycie.

Jan Falkenberg, znana dobrze w dziejach politycznych i literackich polskich osobistość, duch niespokojny, pamfleciarz, wróg Polaków, zagorzały służka „Krzyżowników" (Krzyżaków), wywołał później antypolskimi pamfletami, Satyrą na Władysława i traktatem, zwróconym przeciw konkluzyom Pawła Włodkowica, straszną burzę na soborze konstanckim; wzywał on ni mniej, ni więcej, tylko całe chrześcijaństwo do mordowania Polaków i Władysława, pod karą utraty zbawienia. Odszczekał wprawdzie, jak pies, niecne napaści, lecz Polacy żądali więcej, napiętnowania zdań jego, jako heretyckich, i spalenia go na stosie, jako kacerza, chociaż później sami za jego wypuszczeniem z wiecznego więzienia przemawiali. Owa Satyra Falkenberga zajmuje i w piśmiennictwie polskiem wybitne miejsce: pierwszy to bowiem pamflet polityczny, o którym wiemy, że go z łaciny wytłómaczono na polskie: w polskiem brzmieniu bowiem kazał go odczytać król Władysław przed zgromadzonem rycerstwem.

Takiego to autoramentu był człowiek, który ujął się za kuryą w Krakowie przeciw biskupowi wormackiemu. Cóż twierdził Mateusz?

Ostrze jego traktatu zwrócone jest tylko przeciw najbardziej krzyczącemu bezprawiu, przeciw symonii rzymskiej; w oczach jego wypływały widocznie z tej herezyi wszystkie inne błędy i zamieszania w kościele. Oryginalnem jest założenie traktatu „*Moyses*

sanctus" — bo tak, od pierwszych słów, nazywał go sam Mateusz. Jeśli Mojżesz w pustyni podziwiał krzak gorejący, który wbrew przyrodzeniu nie zgorzał, ileż więcej nam się dziwić wypada, nam, którzy widzimy, w jakim to ogniu zepsucia goreje stan duchowny, a przecież, wbrew sprawiedliwości Bożej, nie dogorywa. Wizya tego strasznego ognia przedstawiła mi się tak dokładnie, że zbudzony chwytam za pióro, by wyrwać innych ze snu i osłupienia.

Ogień, w którym kościół goreje, jest oczywiście ogniem symonii. Od kuryi rzymskiej winnaby iść naprawa; zamiast tego spostrzegamy zupełnie co innego; tam nie dbają o tępienie herezyi lub poprawę obyczajów, tam myślą tylko o obsadzaniu posad duchownych. Skądże jej prawo do tego? Czy zyskuje co na tem kościół? przeciwnie, w Rzymie niepodobna przecież dla braku znajomości stosunków miejscowych ocenić kandydata; tam rozstrzyga tylko pieniądz. Ludzie zasłużeni, godni, uczeni przestają się ubiegać o beneficya, które grosz rozdaje; motłoch bez sumienia zajmie ich miejsce. Na miejsce rozdawnictwa rzymskiego musi powrócić stan dawny, prawo biskupie i kapitulne; jeśli zarzucą, że wtedy biskupi swych krewnych i służebników uwzględniać będą — to i co? czy sprawiedliwiej, żeby się beneficya woźnicom kardynałów dostawały? nigdy nie pobłądzi tak władza miejscowa, jak owa daleka, praktykująca stale i wyłącznie jawną symonię, a więc jawne kacerstwo. Rozbija dalej autor argumentacyę każdą kuryalistów, starających się ubarwić i pokryć ową symonię. Niemożliwa rzecz, aby papież popełniał symonię — jak to? sprzedał przecież apostoł Chrystusa, więc i następcy apostołów toż samo zdarzyć się może. Albo: papieżowi należy się za trud opłata — ależ to jakaś chłopska rachuba, niegodna władcy, a choćby i tak, wtedy złoty od każdej posady powinienby wystarczyć. Papież, jako władca powszechny, zabiera tylko, co jego, — ależ cóż to znaczy, że papież, sługa sług bożych, ma być panem panów świeckich? Widoczne to kłamstwo; władza papieża rozumie się tylko w obrębie praw namiestnika Chrystusowego, ewangelii i soborów powszechnych — a te milczą kompletnie o tem, żeby papież z obcych beneficyów dla własnej kieszeni korzystał. Potrzeba mu tego dla odpowiedniego życia — niechżeż zgromadzi prałatów, żeby mu owe środki obmyślili, a jego to wina, wina zaniedbywania soborów, jeśli się oni na zawołanie jego nie stawią; zaniedbanie soborów pociągnęło za sobą wszystko obecne złe. Lecz, powiedzą w końcu, nie wolno nam sądzić, cóż dopiero karać prałatów i papieża bez uszczerbku ich władzy i znaczenia, bo oni głową naszą! przeciw temu wnioskowi wystawia Mateusz bardzo

drastyczny przykład. Jest opat w klasztorze, niezawisły od nikogo, wyjęty nawet z pod juryzdykcyi papieskiej. On błądzi, rządzi wszetecznie, a od niego niemasz apelacyi do żadnej instancyi. Cóż wypadnie uczynić mnichom? znosić jego błędy i folgować im? bynajmniej, wolno im zebrać się i niegodnego zrzucić z opactwa. Takąż władzę przypisuje Mateusz kościołowi uniwersalnemu, oblubienicy Chrystusowej, i nad papieżem.

Rozumiemy teraz, dlaczego Długosz o Mateuszu przemilczał, i dlaczego traktatu tego niema po naszych bibliotekach, ubogich stosunkowo w rzeczy antyultramontańskie; w Krakowie jest przynajmniej owo „*Speculum aureum*", tchnące tym samym duchem. Tem częściej znachodzimy go po bibliotekach niemieckich; późniejsi kopiści dodawali wzmianki o husytach, soborach i t. d., i na podstawie tych wzmianek odsądzano Mateusza od autorstwa, lecz odpisy najstarsze wtrętów tych nie znają. Protestanci wiedzieli o traktacie i autorze; katolicki opat Tritheim milczy o traktacie, wyliczając inne prace autora; luteranin — Słowianin (Kroat) Flacius wymienia go w „Katalogu świadków prawdziwych". Drukowano go nieraz z pismami Piotra z Alliaku i t. d. r. 1551; w dodatku także do książki, o którą się Piotr Kmita u spadkobierców Krzyckiego upominał (w późniejszem jej wydaniu i t. d.), wraz z traktatami Jakóba Paradyżanina i „*Speculum aureum*"; wydał go i Walch w zeszłym wieku, lecz nie całkiem poprawnie: dawne myłki zaczynają się zaraz od słów pierwszych, *Moyses factus* zamiast *sanctus* i t. d.

Charakterystycznem jest dla Mateusza, jak i dla wszelkich innych pisarzów, dzielących jego zasady, staranne odgraniczanie się, wykluczanie „heretyków"; taki Gerson np., godzący jak najostrzej w autorytet papieski, nie wzdrygający się przed wyrażeniami, których ani u Wiklefa, cóż dopiero u Husa, nie znajdziemy, potępiający scholastykę i jej mataninę, nie zawahał się przecież Husa na stos skazać. Reformatorskie dążenia na gruncie hierarchii kościelnej, jeśli nie miały dążyć do rozbicia starego, istniejącego kościoła, musiały zachowywać jak najskrupulatniej granice prawowierności, odwoływały się ciągle do aprobaty kościelnej, poddawały się wyrokowi jego i soborów.

I również znamienną dla Mateusza jest myśl o ubóstwie kościoła: tylko ubogi kościół, kościół Chrystusów, podoła swemu zadaniu, od którego opływanie w dobra doczesne tylko go odwodzi. Nie trudno odgadnąć tu dążenia cesarza Karola i arcybiskupa praskiego, którzy przemyślali nad konfiskatą dóbr kościelnych, aby odświec-

czyć znarowione dostatkami duchowieństwo. Dalej zwrot przeciw nadmiarowi praktyk zewnętrznych, oziębiającemu żar wewnętrzny.

Wykład traktatu nadzwyczaj jasny, przystępny, przekonywający; argumentacya prosta, doraźna; przykłady czerpane z życia potocznego; niema tu argucyj scholastycznych, chociaż z bystrością prawniczą rozbija się wszelakie argumentowanie kuryalistów. Jako epilog formalny traktatu tego, służy kursująca całkiem osobno, gorąca modlitwa do głowy kościoła, Chrystusa, o zbawienie oblubienicy jego, o zbudzenie pogrążonych w śnie głębokim, o usunięcie nieprawych — napisana z siłą przejmującą, wzruszający pomnik wymowy duchownej, chociaż średniowiecznym wyliczaniem i szeregowaniem atrybutów przeładowana; słowom jej nie brak i ostrza, przeciw Żydom zwróconego; jak wszyscy spółcześni reformatorowie, był i Mateusz antysemitą.

Mateusz, jako biskup jednej z najstarszych i najzawołańszych katedr niemieckich, istniejącej może już w czwartym wieku, znanej w szóstym, a od czasów Karola Wielkiego w nieprzerwanym ciągu obsadzanej, znalazł się wobec trudnych i zawiłych zadań. Należało walczyć z niesfornymi dyecezyanami, którzy, broniąc interesów mieszczańskich, poprzednikowi jego posłuszeństwo wypowiedzieli; na sercu ciążyły sprawy uniwersyteckie; biskup przesiadywał najchętniej w Heidelbergu, godził powaśnionych przy wystąpieniu Hieronima Praskiego, książąt i rycerstwo z profesorami, a gdy przed powietrzem morowym na jesieni 1407 r. wszyscy miasto rzucali, wytrwał on na posterunku i dopełniał obowiązków pasterskich; uniwersytetowi zapisał też całą bibliotekę; posiadamy jej spis, — same dzieła ciężko uczone, sumy i sentencye i wykłady pisma św., rewelacye św. Brygity i t. d., ledwie że jakieś dzieło poety chrześcijańskiego, np. Alana, lub kronika Marcina Opawczyka między nie się zaplątały. Obok obowiązków biskupich i kanclerskich (uniwersyteckich) należało jednak pilnować spraw politycznych, własnego króla i pana, wysyłającego Mateusza z obedyencyą do Rzymu, a dalej spraw kościelnych; zjawił się przecież Mateusz i na soborze pizańskim, jako delegat Ruprechta, a gorliwy obrońca praw Grzegorza XII.

Podróże rzymskie nie były dla niego nowością; jeszcze, jako profesor praski, podejmował je i stawał, jako mówca, przed papieżem; stąd znał on też tak dokładnie stosunki kuryalne, które w traktacie *De Squaloribus* bez ogródki wystawił. Teraz sędziwy prałat do-

czekał się od Grzegorza XII najwyższej odznaki,— kapelusza kardynalskiego, lecz go nie przyjął, może dla trwającej schizmy, chociaż niebawem legatem papieskiem dla Niemiec został i gorąco sprawę Grzegorza XII popierał.

Lecz dni Krakowianina były już policzone; umarł w południe dnia 5 marca 1410 r. Pomnik w kościele wormackim nosił skromny tytuł (dziś go już niema), uniwersytet heidelberski obchodził rocznicę zgonu dobrodzieja swego jeszcze w XVI wieku.

Ostatnim latom Mateusza, może nawet osobistym jego wrażeniom, odniesionym w czasie owego powietrza morowego w Heidelbergu r. 1407, przypisują skreślenie książeczki, która się najwięcej po świecie rozeszła.

I to znowu specyalność średniowieczna, nam zupełnie już obca. Nas zajęłaby chyba „sztuka nieumierania"; średnie wieki jednak myślały tylko o „sztuce umierania", *ars moriendi*. Mianowicie wiek XV, wstrząsający sumieniem ludzkości europejskiej, ukołysanym do snu dawniejszemi praktykami, wystawił całą literaturę o „sztuce dobrego, pobożnego umierania", która nawet w naszych, tak nielicznych zresztą, pomnikach w narodowym języku, żywo się odbiła; przecież najdawniejszy większy nieco druk polski, tak zwana „Powieść o papieżu Urbanie" nie jest w gruncie rzeczy niczem innym, tylko też odmianką takiej *Ars moriendi*, i rzeczywiście powtarza się nieco podobny epizod w *Ars moriendi* Kapraniki; lecz i słynny Dyalog mistrza Polikarpa ze Śmiercią, najlepszy utwór poezyi średniowiecznej polskiej, wyłącznie około „sztuki umierania" się obraca.

Należące tu dzieła spisywali po łacinie najcelniejsi mężowie XV wieku. Na czele ich stoi sławny kanclerz paryski, Gerson, który w trójdzielnej książeczce ostatni dział „sztuce umierania" poświęcił; napisał ją po łacinie i po francusku, w pytaniach, uwagach i modlitwach; odpisy zawieszano po kościołach, szpitalach i szkołach; wydawano drukiem i tłómaczono na obce języki.

Na drugiem miejscu kładą *Ars moriendi* Mateusza z Krakowa, napisaną niemal natychmiast po dziełku Gersonowem, na które się we wstępie powołuje. *Ars moriendi* Mateusza, nieznana, zdaje się, po rękopisach, doczekała się zaszczytu kilku druków „ksylograficznych" około r. 1450, a więc przed wynalezieniem czcionek ruchomych, kiedy to dla największego szerzenia małej książeczki karty jej całkowite, jakby drzeworyty, odbijano, pozostawiając odwroty stronic czystymi, później i na nich te drzeworyty wybijając. Naj-

dawniejsze jej wydanie liczy kart ćwiartkowych 24 (odwroty białe) — jedyny znany egzemplarz tego odbicia nabyło Brytyjskie Muzeum na licytacyi lipskiej z r. 1872 za sumę — 25,000 marek!! Egzemplarz innego odbicia, kart 13 (bo i na odwrocie stronic tekst odbijano), posiada Biblioteka Kórnicka. Zrozumienie tekstu i maluczkim — bo tylko dla nich i dla ubóstwa przeznaczano takie rzeczy — ułatwiały ryciny. Treść dziełka zapełniają rozmyślania w chwili zgonu, szturmy, jakie dyabeł do umierającego przypuszcza, by zachwiać w nim wiarę, poruszyć go do rozpaczy, pozbawić go cierpliwości, pobudzić go do pychy, wzniecić w nim po raz ostatni zachłanność rzeczy świeckich i odpór, jaki anioł im przeciwstawia; przez to nabiera traktat życia dramatycznego niemal, staje się jakby dyalogowaną walką dyabła i anioła o duszę umierającego. Nie dziw więc, że dla tej żywej formy i nadzwyczajnej przystępności, prostoty całego układu tudzież dla rycin dziełko to cieszyło się nadzwyczajną wziętością; po wydaniach ksylograficznych nastąpiły w wieku XV i XVI druki jego, których egzemplarze i po naszych bibliotekach się znachodzą: r. 1533 wydał je i Maciej Ostrogórski (Scharffenberg) w Krakowie.

Trzecią *Ars moriendi*, niby zlepek z dwu poprzednich, Gersonowskiej i „Mateuszowej”, przypisują kardynałowi Dominikowi Kapranice (um. r. 1458) w roku 1452, co mylne, gdyż np. po bibliotekach niemieckich znachodziłem odpisy jej, datowane z r. 1439 i 1448. Drukowano ją i przepisywano często, lecz za autora jej podawano zazwyczaj Mateusza z Krakowa, np. najdawniejszy jej druk, około r. 1470 w Kolonii u Ulryka Zella, zatytułowany: *incipit prologus in librum de arte moriendi, magistri Matthei de Cracovia, sacre theologie professoris*, lecz to *Ars* Kapraniki; ten sam błąd popełniają i rękopisy.

Idę jednak dalej i twierdzę wbrew najnowszym badaniom, że Mateusz z Krakowa ani owej drugiej *Ars moriendi*, że więc żadnej „sztuki umierania” nie napisał. Odbicia pierwotne, ksylograficzne, nie wymieniają żadnego autora, rękopisy i druki mylą się widocznie, dodając jego nazwisko do rozmaitych utworów podobnej treści. Mojem zdaniem, jakiś żak napisał ów traktacik; później, gdy płód ochrzcić wypadało, przyczepiono mu nazwisko Mateusza z Krakowa, jak np. przyczepiano Gersonów i Gersenów do Naśladowania Chrystusa, chociaż je nie Francuz lub Włoch, lecz Niemiec, Tomasz Kempijski, napisał; tradycya bibliograficzna niewiele dowodzi. Opat uczony Tritheim, piszący r. 1492 o pisarzach kościelnych, między dziełami Mateusza żadnej *Ars moriendi* nie wymienia. Do

odmawiania traktaciku Mateuszowi skłoniły mnie jeszcze inne szczegóły, nie ubliżające przeciętnemu pismakowi średniowiecznemu, niezwykłe zato, rażące u duchownego tej miary, co Mateusz. Anioł np., podtrzymując wiarę umierającego, wskazuje na niezachwianą wiarę apostołów i świętych, wymienia między nimi Aleksandra (Macedończyka!!), na którego modły wierne (!!) góry Kaspijskie się zawarły (nad potwornymi ludami, które Macedończyk do skończenia świata tam zamknął). Otóż taki szczegół apokryficzny godzien jakiegokolwiek żaka, lecz w ustach Gersona lub Mateusza trudno go sobie nawet wyobrazić.

Temat był nadzwyczaj ulubiony; i Jakób Paradyżanin przecież napisał „*Ars bene moriendi*", częstą po rękopisach, rzadką w druku. Napisał taką, jak widzieliśmy, Gerson; napisał — wedle twierdzenia Włochów przynajmniej — i Kapranika, lecz jego *Ars* to nie, jak twierdzą bibliografowie, zlepek z *Ars* Gersonowej i ksylograficznej (niby Mateuszowej), lecz odwrotnie, ksylograficzna *ars* jest, mojém zdaniem, tylko rozszerzeniem pierwszego ustępu czy roździału Kapraniki, odrzuca przedmowę i wprowadza anioła, argumentującego przeciw szatanowi, przez co cały pomysł dopiero należytego zaokrąglenia nabrał.

Lecz nie chcemy się w dalsze szczegóły owej bogatej i zawiłej rubryki *Ars Moriendi* zapuszczać: chodziło nam głównie o stwierdzenie, że nie mamy żadnej przyczyny na podstawie świadectwa późnej i niedokładnej tradycyi, wbrew milczeniu starych rękopisów, nie znających wcale traktaciku tego, wbrew kilku innym wskazówkom, usuwającym autorstwo Mateusza, i nadal mu „Sztukę Umierania" przypisywać.

Jak żywotnym był duch Mateusza w sferach polskich, uniwersyteckich i hierarchicznych, na to dowodów długo szukać nie trzeba; świadczy o tém najwyraźniej samo wystąpienie Polaków na soborze konstanckim, ich biskupów i mistrzów zarazem; rektor Paweł Włodkowic i elekt poznański, Andrzej Łaskarz (nie wiemy, dlaczego nasi pisarze poczciwego Mazura Łaskarza na jakiegoś pseudogreka Laskarysa zapamiętale przerabiają) byli godnymi następcami Mateusza. Przypomnijmy tylko kilka szczegółów: gdy sławne uchwały soboru konstanckiego o wyższości soboru nad papieżem, o posłuszeństwie, które i papież soborowi winien, powzięte na czwartej i piątej sesyi, podcinające wszechwładzę papieską, — na publiczném posiedzeniu dnia 6 kwietnia kardynałowie wzbraniali się ogłosić,

powstał Łaskarz i odczytał je sam. On należy wraz ze sławnym biskupem Robertem z Salisbury do najgorętszych zwolenników reformy; więc zażądali kardynałowie, gdy o ich liczbie i t. d. traktowano, aby z obrad usunięto tych, którzy byli „notorycznymi wrogami Kościoła i kuryi rzymskiej", t. j. Anglika, biskupa salisburskiego, i „Niemca", elekta poznańskiego. Lecz ten sam Łaskarz ogłaszał również w imię soboru dekret, potępiający Wiklefa i Husa, strzegł więc, jak Mateusz, prawowierności przeciw wszelkim zakusom heretyckim.

Cóż dopiero mówić o rektorze krakowskim, Pawle Włodkowicu, który wraz z resztą poselstwa polskiego nie zawahał się udaremnić całego efektu widowiska, namaszczonego i uroczystego, jakiem Marcin V spełznienie i zniweczenie dzieła soborowego chciał zamaskować, 22 kwietnia 1418 r., w katedrze konstanckiej, wobec papieża, cesarza i ojców soborowych, znużonych kilkuletnią pracą! Gdy po mszy św. i po uroczystem wezwaniu: w imię Chrystusa pójdźmy w pokoju, biskup-dominikanin wchodził na kazalnicę dla wygłoszenia mowy pożegnalnej, przerwali sami Polacy uroczystość. Ich prokurator najpierw, a po nim rektor krakowski, zakładają protestacyę, wymagając soborowego osądzenia Falkenbergowskich pism, jako heretyckich, i grożą w przeciwnym razie apelacyą do przyszłego soboru, jak niegdyś Mateusz z Krakowa od uchwał pizańskich do Chrystusa apelował. Sam papież zabiera głos i nakazuje rektorowi krakowskiemu milczenie, lecz nieustraszony Włodkowic, Boga, nie ludzi, słuchając, odczytuje protestacyę. Broni tego papież pod karą klątwy i każe odczytać dekret, znoszący apelacyę od papieża do soboru, wywracający więc uchwały konstanckie, a dawno w tym celu przygotowany. Mimo to doręcza Włodkowic w imieniu króla apelacyę do przyszłego soboru notaryuszom papieskim. Wzburzenie było ogromne. Polacy nie ustąpili; biskupi i świeccy, profesorowie prascy, wiedeńscy, paryscy (z Gersonem na czele) stali po ich stronie i w kilka dni później, wyłamując niemal gwałtem bramy pałacowe, doręczyli Polacy samemu papieżowi apelacyę, a napisał Gerson rozprawę w ich duchu, czy wolno w rzeczach wiary od wyroku papieża apelować.

Energiczne to i niezawisłe postępowanie nie było ani przypadkowem, ani chwilowem; podzielał je przedewszystkiem uniwersytet, zajmujący niebawem, pod sobór bazylejski, stanowisko wyższości soborowej i wtedy jeszcze, gdy już cała Europa ojców bazylejskich i ich papieża porzuciła i Eugeniusza uznała. Uniwersytet krakowski opuścił ostatni, po ciężkiej walce sumienia, sta-

nowisko niezawisłe, którego pismem i słowem wytrwale bronił przeciw papistom. Że o epizodzie tym w Krakowie później całkiem zapomniano, że z przerażeniem, przeglądając rękopisy Jana Kantego, jego antyultramontańskie tendencye dostrzeżono, rzeczy nie zmienia; uniwersytet, wojujący ustami najuczeńszych członków przeciw husytyzmowi, nie znoszący w gronie swojém żadnej zarażonej owieczki, bronił mimo to powagi soborowej przeciw autorytetowi papieskiemu. Właśnie podczas soboru bazylejskiego traktat Mateusza odżył niby nanowo: wszystkie niemal odpisy jego pochodzą z tego okresu. A odżywał on nie tylko w odpisach. Wymieńmyż męża, słynniejszego nawet, niż Mateusz z Krakowa, jednego z najzawołańszych pisarzy duchownych XV wieku, męża wielkiej nauki i cnoty, Jakóba z Interboku (od miejsca urodzenia) lub Paradyżu, albo Mogiły (od klasztorów cysterskich, profesyi jego), też Polakiem lub Kartuzyanimem nazywanego. Całkiem w duchu Mateusza z Krakowa zwalcza on i potępia wraz z innymi kolegami na zamku krakowskim w owej słynnej, kilkudniowej dyspucie, prowadzonej głównie w języku narodowym (polskim i czeskim?), dostępującym po raz pierwszy takiego zaszczytu, deputacyę husycką, ale z jeszcze większym ogniem i poświęceniem pracuje on przez całe długie i czynne życie nad reformą kościelną i obyczajową, nad podniesieniem życia zakonnego, a gdy mu w końcu śluby cysterskie nie wystarczają, poddaje się on ostrzejszej Kartuzów regule i w eremie kartuskim pod Erfurtem życie kończy. Wszystkie, nadzwyczaj liczne, w setkach odpisów kursujące pisma jego nawołują do reformy, i wpływ ich widoczny w uniwersytecie erfurckim, któremu też przymawiano: Erfordia — Praga, chociaż w końcu nie Erfurt, lecz Witenberg nową „Pragę” z siebie wyłonił; uczniem zaś uniwersytetu erfurckiego, gdy wpływ Jakóba w nim był największym, był właśnie Jan Ostroróg, autor pisma, które wobec Rzymu bardzo niezawiśle stawało. I inne odgłosy wywoływały pisma Jakóba w kraju: wiersze np., które czytamy we wspomnianym już Dyalogu o śmierci:

Gdy mnich pocznie dziwy stroić,
Nikt go nie może ukoić;
Kto chce czynić co na świecie,
Zły mnich we wszytko się miecie —

wydają się nam niemal tłómaczeniem owego ustępu z pisma Jakóba „o niedbalstwie przełożonych”, gdzie, charakteryzując złego mnicha, kończy przysłowiem: „co sam dyabeł zacięty czynić się wzdryga,

bez bojaźni czyni przewrotny i uparty mnich. „Otóż ten to Jakób prowadzi tylko dalej dzieło, zaczęte przez Mateusza, kroczy wobec rosnącego zgorszenia w jego kierunku, rozpaczając niemal nad przyszłością kościoła. I tak, co on przeciw symonii napisał, jest dalszym ciągiem pracy Mateuszowej, a i tu nie stoi Jakób bynajmniej samotnie. Starszy jego kolega krakowski, Maurycy z Pragi, odczytał jeszcze na soborze konstanckim dziesięć konkluzyj przeciw symonii, o których znowu twierdzić możemy, że natchnął je Mateusz; konkluzye te przepisał własnoręcznie Włodkowic, a Jakób wciągnął je do swego dzieła, przyklaskując im szczerze. Inaczej Włosi-kuryaliści: gdy Maurycy konkluzye swoje odczytywał, zawołał wódz ich duchowy, kardynał Franciszek de Zabarellis: śmierć wolę, niż reformę od tych osłów (t. j. Niemców, dodaje Jakób [1]); żałując wybuchu swego, przeprosił później kardynał włoski mistrza krakowskiego, lecz Bóg mu tego płazem nie puścił: przypłacił to niebawem życiem.

W poważnym, a sympatyczuym wizerunku książęcia kościoła niemieckiego raziłaby może nowoczesnego widza cecha kosmopolityczna. Dziś, gdy, jakby na śmiech i urągowisko naszym olbrzymim środkom komunikacyjnym, narodowości bardziej się coraz odgraniczają, wywołują i prześladują nawzajem, kosmopolityzm niemal zbrodnią lub choćby defektem moralnym trącić się zdaje. Odwrotnie wieki średnie, przy zupełnym niemal braku komunikacyi, odznaczały się wybitnym kosmopolityzmem. Mogły być silne przeciwieństwa polityczne, stanowe, społeczne, lecz uniwersalny kościół, uniwersalny język, jednolity tryb nauki na polu duchowem baryer i szrank nie dopuszczały żadnych; Mateusz, pisząc po łacinie (mamy jego tylko jedną formułkę spowiedzi powszechnej niemiecką — czy właśnie jego pióra?), ucząc w Pradze i Heidelbergu, pasąc — niesforne co prawda — stadko wormackie, pracował dla całego kościoła, dla całej nauki, a więc i dla Polski. Z ojczyzną przez to nie zrywał.

---

[1]) Na synodzie konstanckim wobec groźnej przewagi liczebnej Włochów-kuryalistów przeforsowała reszta ojców soborowych, że za wpływem i przykładem uniwersytetów soborowano nacyami, czterema, jak w Paryskiem lub Praskiem studyum. Do nacyi niemieckiej należeli prócz Węgrów i Polacy, z Trąbą, Łaskarzem, Włodkowicem i Maurycym, znaczącą odgrywając rolę, szczególniej też w sprawie pojednania obu kościołów, myśli, piastowanej gorliwie właśnie na uniwersytetach.

Przypomina on nam — jeśli pominiemy mistrzów czeskich, pracujących w Polsce, lub Paradyżanina i innych — mistrza spółczesnego, Tomasza z Krakowa, który, jak Mateusz, Pragę przeszedł, aby w końcu ugrząźć w Paryżu i tu lat kilkadziesiąt na uniwersytecie mistrzować. Myślałby kto, że choć ten na stare lata — *na stara kolana*, jak mawiano wtedy — o rodzinie zapomni. Gdzie tam! posiadamy od niego list, do króla Włodzisława Jagiełły pisany, gdzie niemal natchnionym językiem, przynajmniej osypując go retorycznymi kwiatkami, tęsknocie swej za ojczyzną i Krakowem, którego wdzięki wysławia, rzewny nadał wyraz.

Właśnie wiek czternasty był szczytem takiego kosmopolityzmu, gdzie, służąc powszechnej sprawie na jakimkolwiek posterunku, nie wyrzekano się przez to właściwej ojczyzny. Jeszcze na soborze konstanckim Polacy z Niemcami, chociaż sprawą krzyżacką tak rozdwojeni, w jednej nacyi pomieścić się mogli. Dopiero później zaostrzają się przeciwieństwa i mimo wygładzającego, wyrównywającego wpływu humanizmu, reformacyi i oświaty zwalczają się dziś narodowości, jak nigdy przedtem. Postęp nielada!

Wracamy jednak do Mateusza i Uniwersytetu.

Nakreśliliśmy pobieżny wizerunek, sylwetkę tylko mistrza, pisarza i biskupa; pominęliśmy liczne szczegóły żywota i pracy literackiej; zamierzaliśmy tylko przypomnieć zapomnianego.

Zapomniał o nim przedewszystkiem uniwersytet, wyparł się niebawem ducha, który z pism Mateusza do nas przemawia, poszedł innemi ścieżkami. W sprawie unii kościelnej np. zajmuje już Jan z Oświęcimia inne stanowisko, jak dawny uniwersytet, jak Maurycy i Gerson; w sprawie soborowej uznano niebawem wszechwładzę kuryi; zamiast do reformy kościelnej przykładał się uniwersytet chyba do kalendarzowej. Odtąd już tylko jednostki, Jakób z Iłży czy Stankar, uchylą się od rzymskiej prawowierności; uniwersytet, jako całość, pielęgnuje ją jak najgorliwiej i najwyłączniej i truchleje, żeby mu tylko jezuici jakichś śladów myśli wolniejszej czy kacerskiej nie wytknęli. Zwrotu tego jednak nie wywołał uniwersytet sam; poszedł on za społeczeństwem własnem — nieraz, jak w sprawie bazylejskiej, przeciw swej woli. Krakowski uniwersytet zresztą nie był jedyny; zdań pierwotnych odstępują i najwybitniejsze jednostki (Eneasz Sylwiusz, Kuzanus i in.) i całe szkoły; wreszcie tracą widocznie od połowy wieku wszystkie uniwersytety na znaczeniu i powadze, ich siły szczuplęją i rozdrabniają się; nowa wiedza rzuca dawne lektorya, kroczy własnymi torami.

Ze szczegółów, które przytoczyliśmy, od imion i konkluzyi Mateusza, Maurycego, Włodkowica i Jakóba, wywodzimy stanowisko uniwersytetu w pierwszych dziesiątkach lat istnienia. Stał on wtedy w teologii — a w teologii kulminowała przecież zawsze jeszcze mimo zaczepek humanistycznych cała nauka ówczesna — na wyżynach wiedzy; z mistrzami paryskimi i wiedeńskimi szli ręka w rękę krakowscy; samo ich postępowanie w Konstancyi obalało niecne kalumnie, szerzone przez zawistnego i zaprzedanego Falkenberga; ci mistrze krakowscy sprawili odrazu, że nazwa Krakowa w świecie naukowym zajaśniała i zaważyła, że wyłoniła się odrazu nauka polska, godna polskiej potęgi państwowej. Więc należy się cześć i wdzięczna pamięć tym mężom, a dziś, niemal po pięciuset latach, możemy szkole starożytnej najszczytniejszym dla niej hołdem wyrazić nadzieję i życzenia, aby i nadal trwała na stanowisku, jakie niegdyś przed wiekami zajmowała, choć się już czasy zmieniły, choć już nie w samej teologii kulminują wszystkie nauki.

A. Brückner.